DZIŚ W NUMERZE

„PRZYGODY PANA PASKA"

BOHATEREM naszej nowej powieści rysunkowej jest Jan Chryzostom Pasek, towarzysz chorągwi pancernej w dywizji sławnego wodza Stefana Czarnieckiego. Postać to prawdziwa, historyczna, wokół której urosła już i legenda, stworzona zresztą przez samego Pana Paska — autora sławnych Pamiętników.

Niesforny ten jedynak zaciągnął się do wojska w roku najazdu szwedzkiego (1655), chyba wprost ze szkolnej ławy. Służba wojenna zaprowadziła go na zachód aż do Danii, na wschód aż do Wiaźmy na Białorusi. Zawsze miał „apetyt do widzenia świata", więc też i napatrzył się różnym dziwom, osobliwościom, ocierał się o dwór królewski, uwielbiał swego wodza Czarnieckiego i dzielnego króla Jana Sobieskiego.

Nim przeczytacie kiedyś Pamiętniki Paska w całości, my już dziś i pędzlem i piórem opowiemy wam kilka zabawnych fragmentów z jego barwnego życia. Zaczynamy właśnie w tym numerze na str. 7.

MALTA '67

Przyjechali do nas z 20 krajów. Są wśród nich dzieci z Francji, Związku Radzieckiego, są pionierzy z dalekiej Mongolii. Już po raz 16 goszczą w naszym kraju na „Malcie" — wielkiej Międzynarodowej Akcji Letniej ZHP. Do 29 lipca byli w Chorzowie, teraz odpoczywają na harcerskich obozach w różnych stronach Polski. Nasz reporter zastał ich jeszcze w Chorzowie i uczestniczył w Wielkim Festynie Przyjaźni.

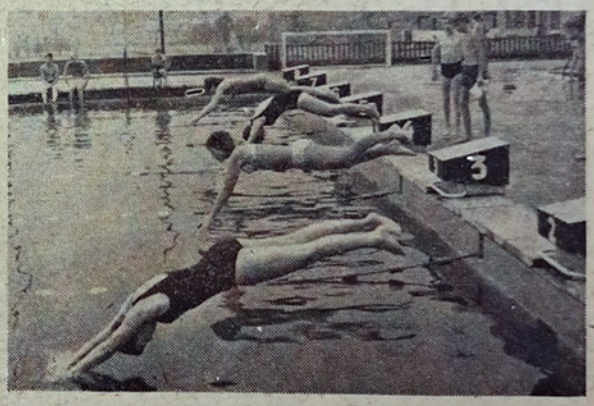

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

r 63 (1637) Warszawa, wtorek, 8 sierpnia 1967 r. Cena 50 gr

SKARB NR 6 zakopany!

Uwaga, czytelnicy, z okolic Fordona w woj. bydgoskim! Wy macie największe szanse odnalezienia Skarbu nr 6. Został on zakopany w miejscu wyjątkowo trudnym do ukrycia.

Wskazówka dla poszukiwaczy brzmi następująco:

Skarbu należy szukać w odległości sześciu metrów od tablicy kilometrowej i w kierunku przeciwnym do cienia rzucanego przez tę tablicę między godziną 11 a 13.

SKARB wartości 300 zł stanie się własnością tego, kto go pierwszy odnajdzie i da o tym natychmiast znać do redakcji.

CENTRALNA SKŁADNICA HARCERSKA I „ŚWIAT MŁODYCH"

MALTA 67

NA WIELKIM PLACU panował gwar. Przy rozmieszczonych półkolem stoiskach krzątali się pionierzy. Wbijali gwoździe, układali pocztówki, lalki, pamiątki. Harcerze przywieźli mikrofony i ustawiali je w amfiteatrze. Przedpołudniowe wesołe zawody, które zorganizowali w swoim podobozie harcerze, wprawiły wszystkich w znakomite humory, więc i festyn zapowiadał się niezwykle ciekawie.

Tuż przy drodze rozłożyli się pionierzy mongolscy: wbijali w ziemię długie paliki i przeciągali sznurki. Po kilkunastu minutach utworzyła się z tego konstrukcja przypominająca trochę szkielet szałasu. Zapytałem jednego z chłopców po rosyjsku, cóż to takiego wznoszą. Odpowiedział, że za godzinę zaprasza mnie do wnętrza, wtedy przekonam się na własne oczy i na własny język. Zdziwiłem się trochę, ale przyjąłem zaproszenie.

Kilkanaście metrów od mongolskiej grupy ustawiła swoje plansze delegacja duńska. Na ogromnej płycie chyba ze sto różnokolorowych pocztówek. Na stole ustawili laleczki w kolorowych ludowych strojach.

Tuż za nimi dwie dziewczynki przeciągały sznurek między dwoma słupkami. Zaczepiały na nim kawałki słodkiego ciasta, które w dodatku moczyły w jakimś gęstym, brązowym syropie. Nie chciały mi na razie odpowiedzieć, czemu służyć ma to całe słodkie urządzenie. Postanowiłem więc wrócić tu zaraz po otwarciu festynu.

Minęła mnie czwórka czarnowłosych chłopaków

Na „Malcie" działa Poczta Przyjaźni. Urząd Pocztowy mieści się w niewielkim pokoiku, przez który przewija się codziennie różnojęzyczny tłum. Pionierzy nadają listy do swoich krajów i kupują piękne polskie znaczki pocztowe. Naczelnik urzędu — druhna Bożena Lasik, zarejestrowała już nadejście 1673 listu od polskich dzieci. Listy — skierowane są do delegacji różnych krajów — piszą harcerze z obozów, wakacyjne zastępy ze swoich podwórek. Proszą o adresy pionierów, albo przesyłają po prostu pozdrowienia. Nadchodzą też meldunki o wykonaniu zadań potrzebnych do uzyskania Plakietki Przyjaźni. Po urzędzie krzątają się się harcerze. To specjalny zastęp pocztowy z podobozu polskiego.

OKUPACYJNE WSPOMNIENIA TRESERA PSÓW

Finka

Pan Aleksander Kulago, którego fragmenty pamiętnika z okresu okupacji drukujemy w dzisiejszym numerze, jest zawodowym treserem zwierząt. Prowadzi on od wielu lat ośrodek tresury psów dla niewidomych, oraz przygotowuje zwierzęta do występów w filmie. Występował wielokrotnie w telewizji ze swoimi zwierzętami a jeden z jego psów — słynna „aktorka" Aida — grała w około 30 filmach polskich i zagranicznych.

JAKO ZAWODOWY TRESER, najczęściej miałem do czynienia z pięknymi rasowymi psami. Ale tak się jakoś składa, że w moich wspomnieniach naczelne miejsce zajmują kundle, włóczęgi, które za kęs chleba, za okazanie im odrobiny zainteresowania potrafią odpłacić wiernością i takimi uczuciami, do których rozpieszczone i wychuchane rasowe pieski nie są chyba zdolne.

Zwykle mało ceni się to, czego ma się pod dostatkiem. Nasze rasowe pupile, pieszczoty i dobrodziejstwa mają w nadmiarze, nic więc dziwnego, że nie tęsknią za nimi i nie wysilają się zbytnio, aby na nie zasłużyć.

A najbiedniejsze ze zwierząt, jakimi są bezdomne psy, potrafią po królewsku odpłacić za okazane im serce. Przekonałem się o tym na przykładzie Finki.

Cała historia rozpoczęła się w październiku 1939 r. w okupowanej przez Niemców Warszawie...

Moje pierwsze spotkanie z Finką

PO WIELU BEZOWOCNYCH poszukiwaniach udało mi się wreszcie w jesieni uzyskać pracę sprzedawcy sklepowego w dużym składzie sukien i okryć damskich przy ul. Brackiej. Do moich normalnych obowiązków należało ponadto nocowanie w zakładzie pracy, a że lokal sklepowy składał się z kilkunastu pokoi i prowadziły do niego aż cztery wejścia — zaproponowałem właścicielowi, aby do pilnowania zakupił dobrego, czujnego psa.

Dostałem polecenie zajęcia się tą sprawą jako znawca, a poszukiwania rozpocząłem w najtańszym źródle: w Towarzystwie Przyjaciół Zwierząt. Niestety. Psa, jakiego życzył sobie mój szef, nie było. Pokazano mi tylko w klatce nędzną, małą, rudą suczkę, którą nazajutrz miał zabrać rakarz. Cała pokryta była wrzodami i złepioną sierścią.

Szkoda mi było biednego skazańca, otworzyłem więc drzwiczki klatki, wyjąłem z kieszeni kawałek chleba i położyłem przed nią. Zaczęła jeść dopiero po dłuższym głaskaniu. Przymknąłem potem klatkę i zapowiadając, że zajdę jutro po innego, zdrowego psa, wyszedłem na ulicę. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy po kilkunastu krokach zorientowałem się, że ta biedota, jakimś sposobem wydostała się z klatki na ulicę i idzie nieśmiało tuż za mną. Pomyślałem, że to nawet dobrze, bo uratowała się w ten sposób od śmierci czekającej na nią. Zabrać jej jednak z sobą nie mogłem, szef na pewno nie zgodziłby się na utrzymywanie takiego nędznego psa. Zawróciłem więc nagle i tupiąc nogami zacząłem ją odpędzać od siebie.

Odbiegła pospiesznie na drugą stronę ulicy i stanęła drżąc, z podkurczonym ogonem, jakby nie wierząc, że jej nie chcę. Patrzyła na mnie przy tym z ogromnym smutkiem. Poszedłem mimo to w swoją stronę, oglądając się tylko co jakiś czas przez ramię. Mała ruda suczka stała pod ścianą kamienicy i nie ruszała się z miejsca. Odetchnąłem, skręciłem w Marszałkowską, wmieszałem się w tłum ludzi.

Nie myślałem już więcej o psie. Miałem wtedy inne zmartwienia. Ale w pewnym momencie jakiś Niemiec (po dystynkcjach i blasze na piersiach domyśliłem się, że to żandarm) kiwnął na mnie nieoczekiwanie palcem i zawołał. Podszedłem. Były to czasy, gdy takich poleceń nie można było lekceważyć. Wtedy on zaczął na mnie wrzeszczeć, wymachiwać rękami i pokazywać — jak mi się wydawało — na moje buty. Ścierpła na mnie skóra. Buty miałem wojskowe, jak również spodnie i płaszcz, takie jakie otrzymałem we wrześniu, kiedy szedłem na wojnę wraz ze swoim pułkiem lotniczym. Tylko guziki zmieniłem na cywilne. „Widocznie — pomyślałem — domyślił się, że zwiałem z lagru (obozu jeńców). Te-

dźwigających ogromną płytę, a tuż za nimi wbiegli na plac przebrani w kolorowe stroje Bułgarzy.

Przy stoiskach czyniono już ostatnie poprawki, kończono napisy, meldowano o gotowości do rozpoczęcia imprezy...

Za kilka minut festyn został otwarty. Harcerska orkiestra dęta zagrzmiała marszem, a na placu zaczął się jeszcze większy ruch. Rozpoczęły się zabawy, śpiewy, no i przede wszystkich zwiedzanie.

Wróciłem do delegacji mongolskiej. Rusztowanie pokryte zostało papierem, wewnątrz ustawiono stół i krzesła. Czarny skośnooki Bichbatar objaśnił mi, że cała ta konstrukcja to po prostu słynna mongolska jurta, czyli pasterski namiot. Poczęstowano mnie teraz napojem podobnym trochę do herbaty z mlekiem, tylko słonym tak bardzo, że przyzwyczajony do słodkich napojów skrzywiłem się. Spojrzałem na mongolskich pionierów. Bez drgnienia oka wypijali całą szklankę napoju, więc nie wypadało mi nic mówić. Bichbatar pokazał mi też kolorową książkę z ilustracjami, na których zobaczyłem prawdziwą jurtę i zwierzęta mongolskiej pustyni. Pożegnałem się z sympatycznymi pionierami, bo zżerała mnie ciekawość, co się dzieje z zawieszonym na sznurku ciastem.

Ponad 2000 dzieci z różnych stron świata wzięło udział w tegorocznej Malcie, a polscy harcerze, którzy rozbili namioty w chorzowskim parku nie tylko opiekowali się zagranicznymi gośćmi, ale byli też organizatorami wielkich maltańskich imprez — Balu Przyjaźni, Międzynarodowego Muzeum, Wielkiego Festynu Przyjaźni i innych. Zdobyli wiele harcerskich stopni.

Pionierzy przebywają teraz na harcerskich obozach, a 12 sierpnia wszystkie delegacje spotkają się w Warszawie. Tutaj zakończy się „Malta-67".

Annemarie wraz ze swoją koleżanką ubrane były teraz w kolorowe stroje i stały po dwóch stronach długiego sznurka, potrząsając nim.

Umoczone w syropie ciastka tańczyły w powietrzu, a stojący przed nimi chłopcy i dziewczęta usiłowali chwycić je w usta. Nie wszystkim to się udawało. Kilkoro umazanych było na twarzy brązowym syropem, ale nie dawali za wygraną.

— To stara holenderska zabawa — mówi Annemarie. — Najczęściej bawimy się tak w dniu swoich urodzin. Ten smakowity syrop pochodzi aż z Indonezji, z cukrowej trzciny.

Na scenie rozpoczęły się występy. Bawiące się przy stoiskach delegacje przechodziły teraz na widownię amfiteatru. Zapalono pierwsze światła. Różnojęzyczny tłum młodych ludzi oklaskiwał właśnie znakomicie tańczący zespół z Bułgarii.

A potem, jak w wesołym korowodzie przewijały się przez scenę następne delegacje. Ze śpiewem, tańcem, muzyką przywiezioną do naszego kraju często zza setek kilometrów. Tak skończył się jeden dzień, który spędziłem z pionierami 20 krajów na Malcie.

WIESŁAW HUDON
Zdjęcia autora

raz dopiero będą kłopoty". Zacząłem więc z głupia frant tłumaczyć, ale tu nastąpiły nowe wrzaski, wśród których przeplatało się „Hund" i „polnische Schweine". „Ubliża mi od psów i polskich świń" — pomyślałem. Znalazł się zaraz jakiś usłużny tłumacz, który jednak wyjaśnił mi, że: „Pan wojskowy krzyczy na mnie za to, że tak strasznie zabiedziłem swojego psa". Spojrzałem... rzeczywiście koło mnie stała ruda, nędzna włóczęga i rozkochanym wzrokiem wpatrywała się we mnie.

— A pójdziesz ty! — krzyknąłem z pasją i strzeliłem klapsem po chudym pośladku. A potem, kiedy pies odskoczył i zniknął, wytłumaczyłem przez usłużnego językoznawcę, że to nie mój pies, wcale go nie znam i nie chcę znać. Szwab coś jeszcze burczał, ale, o dziwo, nie czynił przeszkód, kiedy odszedłem i skierowałem się do swojej bramy. Tam odruchowo obejrzałem się... i aż mną zatrzęsło ze złości. Kilkadziesiąt metrów z tyłu, w głębi ulicy człapała w moim kierunku znajoma ruda suka, ale widocznie nie widziała mnie. Patrzyła gdzieś w bok. Pospiesznie wbiegłem więc do pracowni. A nuż mnie zobaczy. Tego psa miałem już dość.

Drugie spotkanie z Finką

TEGO DNIA po zamknięciu sklepu długo nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Łaziłem bez celu po całym zakładzie. Przystawałem przed wystawami, wyglądając na ulicę, przenosiłem się z fotela na fotel, z pokoju do pokoju. Wieczorem zaczął padać deszcz, zerwał się wiatr. Raz po raz przylapywałem się na tym, że myślę o błąkającej się gdzieś po ulicach rudej suczce.

Podszedłem bliżej oszklonych drzwi i zacząłem wyglądać. Stałem tak chwilę, gdy nagle na tle mokrego chodnika zamajaczyła ciemna plama. Wolno skradając się podeszła do naszej bramy i zastygła bez ruchu. Wtedy ja po cichutku włożyłem korbę w otwór kratownicy, pokręciłem kilka razy podnosząc żaluzję, otworzyłem drzwi i wychyliłem się na ulicę.

— No, chodź już... chodź... — powiedziałem. Ale ona nie poruszyła się wcale, nawet głowy nie odwróciła w moją stronę. Stała czujna, naprężona, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Wyjąłem z kieszeni kawałek chleba i rzuciłem. Zjadła. Drugi upadł bliżej — podeszła. Potem jeszcze bliżej. Wreszcie dałem jej z ręki już w sklepie i zamknąłem za nią drzwi. Zagrzałem wody i wykąpałem ją porządnie, a potem dopiero opatrzyłem jej rany. Wyczesałem i nakarmiłem.

Codziennie gotowałem dla pracowników zupę, z której porcję odstawiałem sobie na kolację. Chętnie podzieliłem się z nią swoją częścią. Spała tego dnia obok mojej kanapy na dywaniku, raz po raz liżąc mnie po ręku.

Rano zbudziła mnie gwałtownym szczekaniem. Ktoś cicho pukał do drzwi. Był to nowo przyjęty pracownik, Jurek. Jej czujność sprawiła mi bardzo miłą niespodziankę. Wolałem jednak do czasu aż odkarmię ją i wyleczę, nie pokazywać jej szefowi. Postanowiłem więc, że na razie zrobię jej posłanie w magazynku, od którego tylko ja miałem klucze.

(Cdn)

ciągną CYRKOM

CO KILKA DNI na placu innego miasta lub miasteczka wyrasta w ciągu paru godzin, czasami przez noc, szary namiot cyrku. Otaczają go domki na kołach. Wieczorami widownię cyrku zapełnia publiczność. Płoną reflektory, mienią się piękne kostiumy, błyszczą uśmiechy.

W biały dzień w cyrkowych wozach toczy się zwykłe życie, kobiety gotują jedzenie, dzieci odrabiają lekcje, bawią się.

Nie każdy potrafiłby mieszkać w domu na kółkach, ustawicznie wędrując. Ludzie areny nie wyobrażają sobie jednak życia bez cyrku, znoszą więc niewygody podróży. Magia cyrku jest silniejsza niż chęć wygodnego ustabilizowanego życia. Niektórzy pierwsze dziecinne kroki stawiali na podłodze cyrkowego wozu, tylko dlatego, że ich ojcowie ukochali sztukę cyrkową, inni zupełnie niespodziewanie dla siebie porzucali dotychczasowe zajęcia i ciągnęli z cyrkowym taborem. Magia cyrku... Jest coś takiego, bo inaczej...

Pan Kazimierz Muszyński ponad 60 lat występuje w cyrku. Jest odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotym Krzyżem Zasługi.

Pieski pana doktora

JEDNYM Z PACJENTÓW lekarza weterynarii dr Sobskiego był kiedyś pies-spaniel, przyniesiony przez pewnego tresera. Pies miał złamane obie przednie łapy. Lekarz stwierdził, że są to skutki okrutnej tresury i oskarżył tresera o znęcanie się nad zwierzęciem. Proces toczył się długo, sąd nie bardzo umiał sobie poradzić z nietypową sprawą. Wówczas lekarz postanowił udowodnić, że można tresować zwierzęta, nie używając kija. Zobowiązał się, że w okresie siedmiu miesięcy wyszkoli osiem psów i przyprowadzi je do sądu jako dowód rzeczowy.

Na posiedzenie sądu przybyło wiele ludzi, wśród nich również i dyrektorzy cyrków oraz treserzy zwierząt. Pieski doktora Sobskiego wmaszerowały na dwóch łapkach, robiąc grzeczny ukłon przed sędziowskim stołem, a następnie dały całe piękne widowisko akrobatyczno-taneczne. Tylko sędziowie musieli zachowywać się dostojnie, cała sala klaskała i głośno wyrażała swój zachwyt. Zwierzchnicy lekarza potwierdzili, że doktor Sobski nie stosował wobec zwierząt żadnych okrutnych metod. A zatem tresura wymaga uniejętności i cierpliwości, a nie — bicia! Treser został skazany na wysoką grzywnę.

A co uczynił doktor Sobski? Powiesił biały lekarski fartuch na wieszaku i... zaczął występować w cyrku wraz ze swoimi psami, które podobno nie odstępowały go na krok.

W ramionach niedźwiedzia

Z KAZIMIERZEM Muszyńskim, kłownem, występującym w cyrku „Gdańsk" spotkałam się w Chełmie Lubelskim. Było to 21 z kolei miasto, które cyrk „Gdańsk" odwiedził w tym sezonie. Siedzieliśmy z panem Muszyńskim przed wejściem do cyrkowego wozu i gawędziliśmy. Pan Kazimierz wspominał swoje młode lata i mówił o obecnej pracy.

Po raz pierwszy wyszedł na arenę, gdy miał 6 lat. (Teraz ma ich 73 i jest jednym z najstarszych artystów cyrkowych w Polsce).

— Ojciec był dyrektorem cyrku i jego właścicielem — opowiada — cała nasza rodzina: ojciec, matka, czterech moich braci i dwie siostry, wszyscy występowaliśmy w cyrku. Ja najbardziej lubiłem konie, zresztą wykonywałem wiele rozmaitych sztuk: byłem akrobatą, grałem na różnych instrumentach. To zresztą przydało mi się bardzo, bo każdy klown musi być wygimnastykowany, musi też umieć śpiewać, tańczyć i grać.

Pewnego razu musiałem nawet stoczyć walkę z prawdziwym, tyle że tresowanym, niedźwiedziem. Zwykle miś walczył z siłaczami, którzy zgłosili się spośród publiczności. Tym razem w miasteczku nie było takiego śmiałka.

Według zwyczaju włożyłem więc na twarz czarną maskę (była to zwykła jedwabna czarna pończocha) i wyszedłem na arenę prosto w rozstawione niedźwiedzie łapy. Strachu miałem sporo, ale co było robić? Trzeba było ratować honor miasta, w którym zabrakło siłacza, i numer programu, który zwykle cieszył się bardzo dużym powodzeniem.

Padliśmy sobie z misiem w objęcia. Walka była zawzięta, ale ja zwyciężyłem. Było to zresztą dużą zasługą tresera, który wpłynął na niedźwiedzia, aby pozwolił mi się pokonać — śmieje się pan Muszyński.

— W każdym razie publiczność była zadowolona. Wszyscy byli przekonani, że to któryś z obywateli miasta jest taki dzielny i silny; nawet wynikła sprzeczka co do nazwiska domniemanego siłacza. W przekonaniu tym utrzymywała ludzi „czarna maska", która przysłaniała rysy twarzy.

Menażeria pani Haliny

RÓWNIEŻ W CHEŁMIE LUBELSKIM w cyrku „Gdańsk" poznałam panią Halinę Hutnikową. Podob-

...E WOZY

nie jak pan Muszyński, i pani Halina także pochodzi z rodziny artystów cyrkowych. Stanęła przed publicznością, gdy miała sześć lat, grała wówczas na ksylofonie. Dziś pani Halina ma już 21-letniego syna, który jest artystą cyrkowym i drugiego — Marka, ucznia szkoły podstawowej, zamierzającego w przyszłości pójść w ślady rodziców i brata.

— Tylko córka dała się namówić — opowiada pani Halina — do przełamania rodzinnej tradycji i jest obecnie uczennicą technikum w Szczecinie. Ale wakacje spędza razem z nami, w wozie.

Kiedyś pani Halina prowadziła przekazaną jej przez ojca treserę lwów i tygrysów, obecnie jest treserką małych zwierząt. W jej menażerii znajdują się: gołębie, kawki, koty, białe szczury, bardzo stara i gadatliwa papuga Arka, która sama sobie udziela pochwał, wołając: „Brawo Aruncia, dzielnie, Aruncia". Są również dwa niemłode, ale za to jakże opanowane koty: Maciek i Misza, oraz dwa psy: mała Żaba i wielki Reks, żyjący w wielkiej zgodzie z trzema pawianami, kogutem — Piotką i kaczorem — Wojtkiem. I jeszcze dwie psotne małpki — Kasia i Munia, które na co dzień bardzo się nie lubią, ale gdy są na arenie, zachowują się jak dwie przyjaciółki.

Wydawałoby się, że tyle zwierząt i ptaków o tak różnych upodobaniach może tylko stworzyć nieopisany zamęt na arenie. Nic podobnego. I zwierzęta i ptaki są posłuszne swojej treserce, a ona kolejno wprowadza je do akcji. Papuga huśta gołębie, koty przechodzą ostrożnie ponad grzbietami szczurów. Żaba tańczy, Reks ciągnie wózek, a nawet kogut i kaczor, czyli przedstawiciele „drobiu", bezbłędnie wykonują swój numer... Tylko Munia, uwielbiająca koguta — Piotkę, nie może czasem zapanować nad swoją ciekawością i bierze w łapki kogucią „biżuterię", czyli czerwony grzebień i kolczyki. Skarcona surowym słowem treserki, obrażona odwraca się od koguta, ma żal właśnie do niego, a nie do pani Haliny...

— Jak pani nauczyła zwierzęta „grać"? — pytam.

— O jakiejś metodzie pracy i zasadach tresowania trudno mówić... Każde zwierzę wymaga innego podejścia, a wszystkie razem ogromnej cierpliwości — odpowiada pani Hutnikowa. — Cały program ułożyłam sama — dodaje.

Uczeń-wędrowiec

JEDEN Z NAJMŁODSZYCH przedstawicieli zespołu cyrku „Gdańsk" to Marek, syn pani Haliny i Stefana Hutnika, dyrektora cyrku. Marek zdał do szóstej klasy, jest inteligentnym i miłym chłopakiem i, jak twierdzi, „żyć bez cyrku nie może". Woli wędrówki po różnych szkołach niż swoją osiadłą szkołę, do której uczęszcza zimą.

Kiedy na wiosnę cyrki opuszczają zimową bazę w Julinku i rozjeżdżają się po Polsce, chłopak pakuje swoje książki i zeszyty, rozpoczyna żywot wędrownego ucznia. Każdego dnia rankiem idzie sam, bez mamy, do szkoły w miasteczku, gdzie rozbił swój namiot cyrk. Przedstawia się kierownictwu szkoły i otrzymuje zezwolenie na udział w lekcji. Po trzech, czterech dniach żegna nowych kolegów, których już zdążył polubić, wsiada do wozu i jedzie wraz z cyrkiem dalej. Lekcje odrabia przy zwykłym stole, który jednak nie stoi w zwykłym domu...

Marka poznałam w czasie wakacji w lipcu, zeszyty były schowane, Marek nie musiał odrabiać lekcji, poszliśmy więc razem na wieczorne przedstawienie. Marka nigdy program nie nudzi. Przygląda się uważnie kolejnym numerom i mówi:

— „To" próbowałem już robić, ale mi jeszcze nie wychodzi. Albo: — O, to jest naprawdę bardzo trudne...

Po ukończeniu szkoły podstawowej, Marek zamierza pójść do Szkoły Artystów Cyrkowych w Julinku. Może kiedyś spotkacie go już na arenie.

A. GRZYBOWIECKA
Zdjęcia autorki

Pani Halina Hutnikowa zabrała na przechadzkę papugę Arę. Papuga należała jeszcze do ojca pani Haliny. Jest więc ptakiem bardzo wiekowym, widziała niejedno, mogłaby na pewno napisać całą historię cyrku w Polsce.

Specjalny telefon wakacyjny 28 77 21

— Może „Świat Młodych" wreszcie mi doradzi?...

— Jeśli tylko będzie mógł.

— Więc wyjeżdżam do ciotki na wieś. Przez dwa tygodnie nikogo w mieszkaniu nie będzie, a ja mam duże akwarium z pięknymi rybkami. Jestem zrozpaczony. Akwarium ze sobą nie wezmę, a nikogo znajomego nie mam, żeby przychodził rybki dokarmiać.

— Wydaje mi się, że nie powinno być żadnej tragedii. Przede wszystkim, nie zmieniaj przed wyjazdem w akwarium wody. Możesz tylko wyłączyć grzałki, bo i tak jest bardzo ciepło i nie ma obawy, aby woda się oziębiła. Nie ruszaj też roślinek. Rzecz jasna, tuż przed opuszczeniem mieszkania po raz ostatni nakarm rybki, jak to zazwyczaj robisz i uwaga — obowiązkowo musisz wsypać do akwarium nieco witaminy „ULTRA", którą kupisz w każdym sklepie prowadzącym sprzedaż rybek akwaryjnych. Witaminy trzeba dać tylko małą szczyptę — tak jakbyś solił jajko. Nie więcej! Jak akwarium stoi na oknie albo w miejscu nasłonecznionym, trzeba je też osłonić pergaminem. I to wszystko. Możesz wyjechać, nie obawiając się, że rybki zdechną z głodu.

— Naprawdę?

— Wczoraj byłem w sklepie pana Burcharda — wiesz, ten sklepik ze zwierzętami przy ulicy Nowy Świat w Warszawie, i tam się wszystkiego dowiedziałem.

— To bardzo dziękuję. (zp)

Kiedy sędzia gwiżdże...

Jan Lubaś z Białkówki, pow. Jaszczew, woj. rzeszowskie, pyta, czy można zmienić gracza w czasie meczu.

OCZYWIŚCIE, że można. Już od kilku lat Polski Związek Piłki Nożnej wprowadził wymianę bramkarza w ciągu 90 minut gry oraz jednego zawodnika z pola do 46 minut meczu, tj. do momentu rozpoczęcia drugiej połowy. W wielu krajach wymiany były zabronione, ale w tym roku Międzynarodowa Federacja Piłkarska zniosła ten zakaz i niedługo wymiany będą stosowane na całym świecie.

Pytasz dalej... czy sędzia może usunąć z boiska zawodnika, który nie naruszył przepisów?

Na pewno nie! Tak samo jak nie może uznać bramki, jeżeli jeden z zawodników sfauluje bramkarza, a jego kolega skorzysta z tego i strzeli gola.

„Tadek" prosi o odpowiedź na pytanie, czy zawodnik może zabiec drogę przeciwnikowi lub stanąć przed nim, kiedy on biegnie do podanej mu piłki?...

Nie może ani zabiegać drogi, ani stawać przed przeciwnikiem i zostanie za to ukarany rzutem wolnym pośrednim.

Henryk Spodarczuk z Legnicy, Głogowska 82, ma trzy następujące pytania, na które daję autorytatywne odpowiedzi.

Czy zawodnik, wykonujący rzut karny, może dobić piłkę odbitą przez bramkarza?

Tak, zdobyta w ten sposób bramka jest ważna.

Czy zawodnik, wykonujący rzut karny może dobić piłkę odbitą od słupka lub poprzeczki?

Nie, ponieważ żadnemu zawodnikowi nie można zagrać piłką po raz drugi po rzucie karnym, wolnym lub wykopie od bramki, dopóki nie dotknie jej ktokolwiek z pozostałych zawodników, będących na boisku. A poprzeczka lub słupek, nie jest zawodnikiem.

Czy bramkarz może strzelać rzut karny?

Tak (jeżeli tylko potrafi celnie strzelać).

Odpowiadał
GRZEGORZ ALEKSANDROWICZ

Rys. St. Rozwadowski

Gang z ulicy Brzeskiej

16

STANISŁAWA PLATÓWNA

TOMEK DRŻĄCĄ RĘKĄ nakręcił numer biura. Szczęknął automat, odezwał się głos telefonistki.

— Poproszę z inżynierem Zarębskim.

— Łączę.

Szumy, zgrzyty, trzaski i wreszcie głos ojca.

— Słucham, Zarębski.

Tomek przełknął ślinę.

— Tatusiu — powiedział cicho — to ja...

— Ach, to ty Tomku — ucieszył się ojciec — dobrze, że dzwonisz. Właśnie byłem w kłopocie. Obiecałem twojej matce, że spotkamy się dziś o godzinie trzeciej i porozmawiamy. Podobno coś przeskrobałeś?

— Nie — westchnął Tomek — to znaczy... tak.

— No, nie martw się. Wszystko wyjaśnimy, ale, niestety, dziś nie mogę się z tobą spotkać. Zaraz po trzeciej mam ważne sprawy do załatwienia w związku z wyjazdem do Bułgarii. Naprawdę nie mogę tego odłożyć. Przyjdź pod biuro... czekaj... jutro nie, pojutrze, dobrze? W piątek o trzeciej.

— Dobrze, ale tatusiu... ja muszę koniecznie dzisiaj z tobą pomówić...

Inżynier Zarębski chrząknął niecierpliwie.

— Przecież tłumaczyłem ci, że dziś nie mogę. Chyba nic się nie stanie, jeśli te ważne sprawy zaczekają dwa dni? Muszę już kończyć, przerwałeś mi pilną naradę. Więc do piątku, pa.

— Tatusiu! — krzyknął rozpaczliwie Tomek, ale ojciec już odłożył słuchawkę.

Tomek wyszedł z budki telefonicznej i ociężałym krokiem ruszył w stronę domu. Po kilku metrach zatrzymał się. Nie, nie pójdzie do domu. Zaczeka na ojca pod biurem. Przecież to tylko kilka minut... Ojciec musi mu poradzić, co zrobić z teczką. O, do licha! Szef zapowiedział, że wróci o drugiej, a ojciec kończy pracę o trzeciej. Teraz jest wpół do drugiej...

Tomek zdecydował się. Szybko pobiegł w stronę domu, wpadł do mieszkania, napisał na kartce: „Wrócę przed czwartą" i wsunął kartkę w szparę drzwi. Biegnąc do tramwaju, rozmyślał: „Będą musieli zaczekać, teczka jest u mnie, przecież tak od razu nie polecą na milicję."

Mimo upału zrobiło mu się zimno. Co za historia. Milicja, kurator, sąd dla nieletnich... Ale się wplątał. Przez jedno głupie pióro. I co teraz robić? Jeśli weźmie teczkę i przechowa kradzione rzeczy, będzie wspólnikiem Szefa i jego kompanii. Wprawdzie Szef twierdzi, że niczego więcej nie chcą, jak tylko przetrzymania teczki i dyskrecji, ale kto go tam wie. Dziś przynieśli teczkę, jutro przytaskają walizkę i już nigdy nie odczepi się od tych złodziei. A jeśli odda teczkę, odmówi przechowania jej... Tomek poczuł, że cierpnie mu skóra na głowie i karku. Szef spełni pogróżki, Tomek poznał to po jego oczach. Wszyscy się dowiedzą: mama, koledzy, ojciec...

Żeby to tylko chodziło o sprzedane pióro... Ale ta historia z Ewą... Tomek już naprawdę nie potrafiłby powiedzieć, co właściwie zaszło w lesie... Może to, że siedzieli przytuleni i że raz pocałował Ewę we włosy było okropne, złe, niemoralne? Tak mówiła pani Lewandowska. Szef twierdzi, że za to można dostać się do zakładu poprawczego. I że Ewa powie to, co on jej każe powiedzieć.

Pocałuj mnie w nos — mruknął chłopiec.

Jeszcze dziesięć minut. Kolorowa wystawa sklepu sportowego przyciąga wzrok. Namioty, kochery, płetwy, okulary podwodne. Tomek staje tyłem do tych pokus. Nie można się rozpraszać. On będzie oglądał wystawę, a tymczasem ojciec wyjdzie i nie zauważy go. Tomek czuje bicie serca gdzieś aż w gardle. Musi porozmawiać z ojcem, musi. Tylko on może mu pomóc, przecież nie powie o wszystkim matce, nigdy w życiu nie zdobyłby się na to. O teczce jeszcze, ale o Ewie? Nie.

Jest. Wychodzi z ciemnej bramy, uśmiechnięty w jasnym garniturze, rozgląda się. Tomek podbiega.

— Tatusiu — mówi i nagle milknie.

Do ojca podchodzi młoda kobieta w eleganckiej białej sukni, bierze go pod ramię, śmieje się, odchodzą...

Tomek stoi nieruchomo na chodniku, przechodnie potrącają go, nie czuje tego, patrzy za znikającą w oddali wysoką sylwetką ojca i na biały kapelusz, przytulony do jego ramienia. Koniec. Nie opowie ojcu o swoich kłopotach, nie dowie się, jak ma postąpić. Zapomniał, że jest jeszcze ktoś inny, kto czeka teraz pod biurem, ktoś ważniejszy niż Tomek. „Mam pilne sprawy do załatwienia w związku z wyjazdem do Bułgarii" — powiedział ojciec. Tomek czuje piekące łzy pod powiekami. Nagle ktoś wali go z całej siły w ramię.

— Co tak stoisz jak parasol? — Tomek słyszy znajomy głos i odwraca się. To Adam, dawny kolega ze szkoły.

— Tak sobie — odpowiada — zamyśliłem się.

— Od myślenia nogi puchną — dowcipkuje Adam i, przyjrzawszy się uważnie Tomkowi, mówi — ale ty, bracie, wyglądasz, jakbyś z pogrzebu wracał. Stało się coś?

— Słuchaj — rzuca Tomek z determinacją — powiedz... co byś zrobił w takiej sytuacji...

Adam to dawny, zapomniany, kolega, z którym nie widział się blisko dwa lata, niezbyt sympatyczny i w klasie nie bardzo lubiany. Ale w tej chwili Tomkowi zdaje się, że przyprowadził go tu na ulicę Świdnicką szczęśliwy los. Musi komuś powiedzieć, musi usłyszeć czyjeś zdanie...

— No więc jak myślisz, to wielkie przestępstwo przechować taką teczkę? — kończy Tomek.

Przemilczał historię z długopisem i wyprawą do lasu. Wspomniał tylko, że Szef zagroził mu zemstą, jeśli odmówi współpracy. Adam stuka się palcem w czoło.

— Ale ty jesteś wczorajszy — mówi z politowaniem — ukradłeś te rzeczy? Nie. Przecież nie musisz wiedzieć, skąd oni mają pióra, żyletki i całą resztę. Niech się oni martwią, jeśli coś nie gra. W razie wsypy powiesz po prostu, że nie wiedziałeś, co jest w teczce i koniec.

— No tak.., ale to jest paserstwo, nie?

— Coś ty! Paser sprzedaje, albo kupuje kradzione rzeczy, a ty masz je tylko przechować, a w ogóle — tu Adam zniża głos do szeptu — radzę ci nie zaczynać z takimi facetami. To musi być lepsza ferajna. Lepiej im się nie narażać. Ja sam miałem kiedyś taką przygodę... — I zaczyna długą opowieść, której Tomek nie słucha, myśli bowiem, że Adam ma rację, że lepiej się nie narażać i że ostatecznie nie robi nic złego.

— Cześć — przerywa koledze wpół słowa — muszę lecieć, już jestem fatalnie spóźniony, oni przyjdą przed czwartą.

— Cześć.

Tomek wskakuje do tramwaju, raz po raz spogląda na zegarek. Żeby tylko mamie nie zachciało się dziś wcześniej wrócić do domu. Jest mu jakoś raźniej, powziął decyzję i teraz tłumaczy sobie, że to przecież nic wielkiego... po paru dniach Szef zabierze teczkę i nikt się o niczym nie dowie.

Pędem wbiega do bramy i nagle staje jak wryty. Są wszyscy. Szef, Misiak, Orczyk, Lampa, Saksofon, Ślusarz. Brak tylko Zakskrońca i Ewy. Na jego widok oderwali się od ściany, idą ku niemu wolnym krokiem, z rękami w kieszeniach. Otoczyli go.

— No? — mówi Szef nie wyjmując z ust szklanej cygarniczki.

— W porządku — odpowiada Tomek — znalazłem schowek, że mucha nie siada.

— Mówiłem, Szefie, że Elegancki to swój chłopak — śmieje się Saksofon.

— Tak — cedzi Szef przez cygarniczkę — będą z niego jeszcze ludzie.

Reszta „kozaków" poklepuje Tomka, szturchają go przyjacielsko, śmieją się, coś mówią. Tomek nie słyszy i nie rozumie. Ma uczucie, że zatrzasnęły się za nim jakieś drzwi, że znalazł się w ślepej uliczce, skąd już nie ma wyjścia, chyba, że...

Cdn.

PRZYGODY PANA PASKA

Był rok 1658. Szwedzki król Karol Gustaw ponosił w Polsce ciężkie straty, nękany przez wojska Czarnieckiego. Rozpoczęła się też wojna Szwecji z Danią. Karol Gustaw, który już widział, że nie utrzyma się nad Wisłą, opuścił Polskę. Zagrożonej szwedzką agresją Danii przyszły z pomocą oddziały zbrojne Czarnieckiego. Polacy rozpoczęli szturm na Koldyngę — miasto zajęte przez Szwedów. Czarniecki wyznaczył Pana Paska do przewodzenia czeladzi w czasie szturmu. Kazał też, aby każdy niósł przed sobą na piersiach snop dla ochrony od postrzału.

Rysunki MIECZYSŁAW KOŚCIELNIAK

Scenariusz BARBARA TYLICKA

REWELERSI zawsze modni

PIOSENKA POLSKA zmienia zwolna swój charakter. Powraca zainteresowanie nieśmiertelną pieśnią ludową. Zamiast wrzasku do głosu dochodzi — liryka, poezja, ballada. Dzięki tej nowej fali zaczynają powracać do łask wokalne zespoły rewelersowe.

Rewelersi wywodzą swą nazwę od angielskiego słowa „reveller", co znaczy po prostu — wagabunda. Zespoły rewelersów powstawały przed wojną jak grzyby po deszczu. Były to małe wokalne zespoły estradowe. Rewelersi piosenki nie tylko śpiewali, ale także je „odgrywali". wzbogacali ruchem, gestem, tanecznym krokiem, dowcipnym rekwizytem. Rewelersi byli tak ongiś popularni jak obecnie zespoły big-beatowe. I do dziś, mimo że gwiazda rewelersów nieco przybladła, wyparta mocno-uderzeniowymi rytmami, krążą po świecie ich dawne refreny i szlagiery, popularne niegdyś piosenki, jak choćby ta o żołnierzu, co to stał na widecie, czy o dzielnych strażakach, który to utwór włączyli dziś do swego repertuaru „Niebiesko-Czarni".

Tradycja Zespołów rewelersowych jest bogata. Ot choćby historia powstania popularnego **Chóru Dana.**

Było to przed 30 laty, w Warszawskim Teatrze „Qui-Pro-Quo" na Senatorskiej, gdzie wystąpiło pewnego dnia pięciu panów w wielkich czarnych sombrerach. Śpiewali śliczne piosenki hiszpańskie, a przy tym tańczyli żywiołowo. Nazywali się egzotycznie „Coro Argentino Dana". Wobec ogromnego powodzenia, jakim cieszył się występ tych nieznanych „argentyńczyków", dyrektor teatru zaangażował ich na stałe, przy czym zmienił im nazwę zwyczajnie na „Chór Dana".

Chór Dana zdobył wielkie powodzenie i występował z wielkim sukcesem aż do wojny. Odbył szereg podróży zagranicznych, był rozrywany przez teatry, kabarety, radio. Nagrał setki płyt. A wśród członków zespołu wyróżniał się swym głosem szczególnie jeden „argentyńczyk". Był to nie kto inny jak sławny dziś... Mieczysław Fogg.

Inny znany zespół — występujący aż do chwili obecnej — kwartet, zwany **„Czwórką Szacha"**, ma również swoje tradycje, a historię wręcz bojową.

Zespół powstał w sierpniu 1944 r. w czasie powstania w Warszawie. Oto, jak wspomina ten okres założyciel zespołu i jego kierownik, Henryk Szachnowski:

— Działaliśmy podczas powstania razem z dużą 30-osobową grupą orkiestry dętej i z mniejszym zespołem symfoniczno-rozrywkowym przy Filharmonii Warszawskiej.

Pierwszy koncert naszej orkiestry pozostanie w mej pamięci na zawsze. Dźwięki „Warszawianki", które rozległy się nagle w czasie walk powstańczych na ulicach Warszawy, wyciskały łzy wzruszenia zarówno słuchającym jak i grającym. Później docieraliśmy niejednokrotnie na pierwszą linię walk. Pamiętam taki koncert w gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Szłiśmy tam pod obstrzałem niemieckich strzelców.

„Czwórka Szacha" śpiewała także w muzycznych audycjach Radiostacji Powstańczej „Iskra". Po upadku powstania, w niewoli, Henryk Szachnowski zaczął tworzyć zespół na nowo. Odrodzenie kwartetu nastąpiło w szpitalu dla jeńców wojennych w pobliżu międzynarodowego obozu wojskowego Stalag IV B. Tam właśnie w bardzo trudnych warunkach, narażeni stale na niebezpieczeństwo, śpiewali powstańcze i partyzanckie piosenki przy akompaniamencie gitarzysty Stanisława Domańskiego — współtwórcy zespołu.

Dziś „Czwórka Szacha" ma na swoim koncie 3 tys. występów i obchodzi mały jubileusz. Ich repertuar to pieśni wojskowe, powstańcze, partyzanckie oraz inne — pełne humoru i parodii.

◆

Liczne zespoły rewelersowe stworzyły Klub Rewelersów Polskich, a niedawno dzięki staraniom tego klubu odbył się w Warszawie I Festiwal Polskich Rewelersów.

W imprezie wzięli udział przedstawiciele wszystkich pokoleń polskich rewelersów. Począwszy od zasłużonej „Czwórki Szacha", poprzez „Warszawskie Szpaki", „Beltono", „Czyżyki" aż po „Gypsy" (znaczy „Cyganki"), „Kwartet Warszawski", „Alibabki" i najmłodsze „Krystynki" ze Szczecina.

Program prowadził dowcipnie, serdecznie i niemal po rodzinnemu ulubieniec publiczności Henryk Ładosz, wierny sympatyk i entuzjasta muzyki rewelersowej.

◆

Cóż możemy dodać od siebie? Chyba to, że wielu wśród was nawet nie wie o tym, że tworzy mały zespół rewelersowy na własnym podwórku. Czy nie śpiewacie w małych grupach, często na dwa, trzy głosy? Czy nie tworzycie samorzutnie duetów, tercetów, kwartetów? I czy nie lepiej czasami wystąpić przed podwórkowym, świetlicowym czy obozowym audytorium z ładną, melodyjną piosenką opracowaną na kilka głosów, niż starać się naśladować niektórych „mistrzów" big-beatu, często przecież wcale nie najlepszych?

Przyjmijcie więc nasze letnie hasło:

Obozowe i podwórkowe zespoły rewelersowe na start!

A. WIELGOŁAWSKA

Oto zasłużona, o bojowej sławie „Czwórka Szacha". Sam najgłówniejszy „Szach" — czyli założyciel i kierownik zespołu — Henryk Szachnowski (stoi w środku) powiedział nam podczas spotkania, że był szczerze wzruszony setkami listów, jakie zespół otrzymał od swych sympatyków z kraju i ze świata, w związku z jubileuszem kwartetu.

Foto: A. Mottl

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

WIRÓWKA

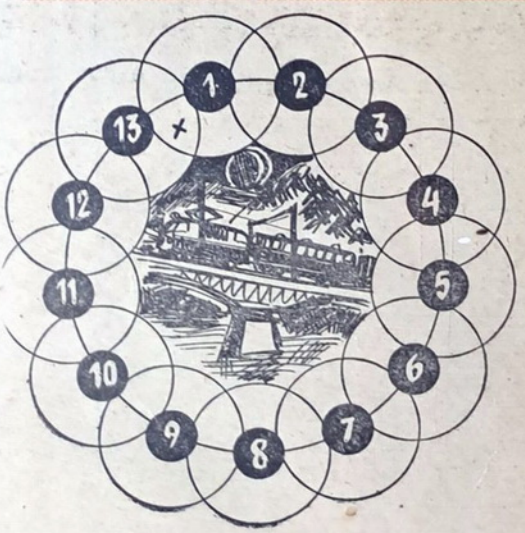

Dookoła cyfr wpiszcie trzynaście wyrazów.

Znaczenie wyrazów: 1 — inaczej pałasz; 2 — górna część ubrania; 3 — obuwie męskie (l.p.); 4 — inaczej świadectwo dojrzałości; 5 — nazwa najwyższych wierzchołków tatrzańskich pozbawionych roślinności; 6 — rosła . . . . . liściem szerokim; 7 — jest kolorowa, służy do rysunków; 8 — broń sieczna i kolna; 9 — płot, ogrodzenie; 10 — jedzą dzieci z mlekiem; 11 — jest z gumy, chroni przed wilgocią; 12 — kawałek wołowego mięsa smażonego; 13 — dwukołowy lekki pojazd, ciągniony przez człowieka.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie lub karcie pocztowej: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające rozwiązania tylko rozrywek umysłowych.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 27-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", Warszawa ul. Bagatela 14. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00 kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 1032. T-38.